

Holenderską firmę Van den Hul znamy przede wszystkim jako producenta audiofilskich kabli.

Bardzo rozbudowana oferta obejmuje zarówno modele na każdą kieszeń, jak i te bardzo

drogie. Jednak w katalogu firmy

znajdziemy także duży wybór

wkładek gramofonowych,

trzy modele

przedwzmacniaczy

phono oraz

wzmacniacz dzielony

W odróżnieniu

od kabli, elektronika

jest już wyłącznie

bardzo droga.

Mariusz Malinowski

Spektakl

Van den Hul
The Emerald/The Excalibur

Předwzmacniacz liniowy The Emerald oraz para monobloków The Excalibur to łączny wydatek 150 tys. zł. Wskoczenie od razu na tak wysoką półkę wiąże się z pewnym ryzykiem. Firma nie dysponuje jeszcze statusem high-endowego supergracza w tym segmencie. Mało tego, dotychczasowe próby Van den Hula zaistnienia z elektroniką pod własnym szyldem opierały się na krótkiej współpracy z innym holenderskim pro-

stalowej. Boczki dodatkowo ozdobiono kawałkami drewna.

Z przodu umieszczono tylko włącznik; na górze oraz z tyłu widać otwory wentylacyjne. Tyłne znalazły się u wylotów dwóch wiatraczków, jak deklaruje producent – wyjątkowo cichych. Załączają się dopiero, kiedy czujnik temperatury wyśle stosowny sygnał. Czujnik może też wymusić odcięcie zasilania. Stanie się to po przekroczeniu krytycznej temperatury. Nie wiem, ile

ona wynosi w tym przypadku, ale w teście Excalibury nagrzewały się umiarkowanie. Co oczywiście nie przeszkadza docenić dbałości o termiczny komfort ich pracy.

Z tyłu znalazły się: główny wyłącznik zasilania, zintegrowany z wejściem IEC, pojedyncze terminale głośnikowe oraz gniazda. Dostarczony egzemplarz został wyposażony, obok oczywistego wejścia XLR, także w wyjście do kolejnego monobloku zamiast, co byłoby chyba logiczniejsze, wejścia RCA. Można też wytknąć producentowi, że tego wyjścia w ogóle nie opisał.

Zasilanie jest na wejściu filtrowane, a po przejściu przez sporej wielkości nieekranowany toroid – rozdzielane na dwie części. Zasilacz uzupełnia mostek prostowniczy oraz trzy kondensatory elektrolityczne Jamicono o pojemności 10 tys. μF – wszystko

W Excaliburze zastosowano MOSFET-y typu lateralnego.

Moduły regulacji głośności na oddzielnych płytach drukowanych.

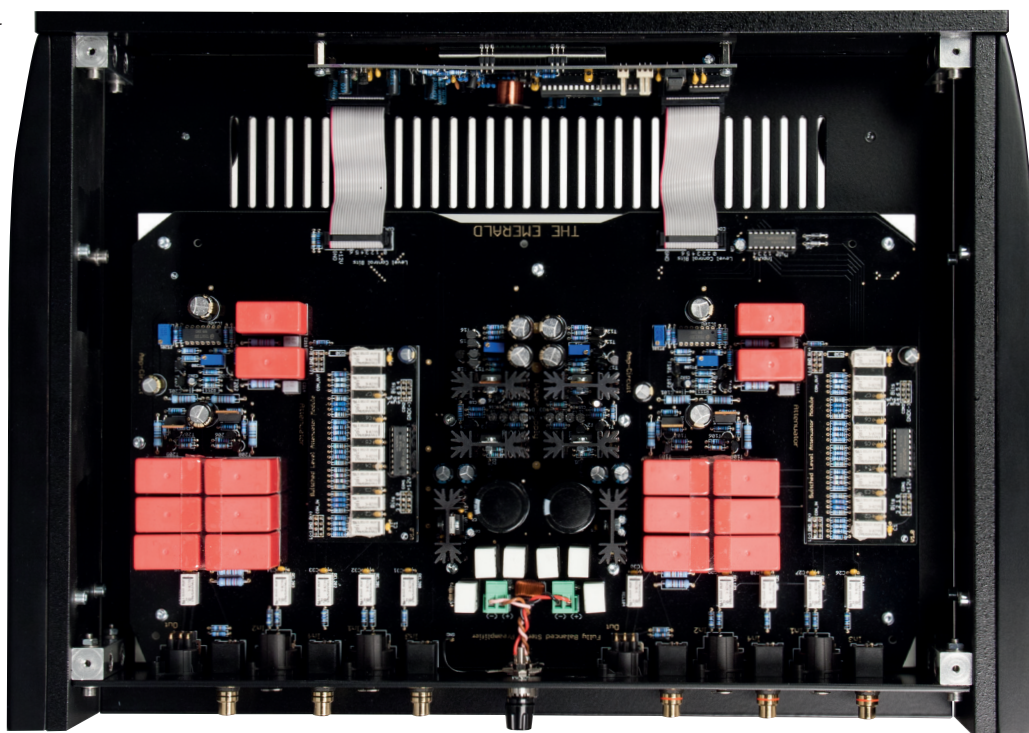


ducentem, Array Audio. I jakoś nie przebiły się do świadomości odbiorców. Jeśli tym razem ma być inaczej, to znaczy, że Holendrzy proponują coś naprawdę niezwykłego.

Budowa **Monobloki** **The Excalibur**

Rozmiary monobloków The Excalibur są skromne, ale ich masa może zaskakiwać. Już wyjmując urządzenia z pudełka zadajemy sobie pytanie: jak oni upakowali te 26 kilo w obudowie wielkości budżetowego odtwarzacza?

Za masę w dużej części odpowiada obudowa. Front i tył wykonano z aluminium; reszta to płyty blachy



to jest dublowane dla elementów drugiej połówki sygnału, co podkreśla symetryczną budowę wzmacniacza.

Część sygnałowa okazuje się wielce tajemnicza. Producent określa wzmacniacz jako „DC coupled”, ale nie podaje żadnych objaśnień działania układu. Z definicji wynika, że mamy do czynienia z bezpośrednim sprzężeniem (bez kondensatorów) wszystkich stopni sygnału, w praktyce jednak kondensatory w części sygnałowej widać. Nie jestem elektronikiem, aby tu cokolwiek demaskować, jednak brak rzetelnej informacji o wykorzystanych rozwiązaniach pozostawia niedosyt.

ty wykonano ze stali. Z przodu znajduje się wyświetlacz, informujący o wybranym źródle, zrównoważeniu kanałów oraz poziomie głośności. Ta ostatnia informacja jest podawana w procentach.

Na tylnym panelu zmieszczono cztery wejścia (dwa zbalansowane i dwa niezbalansowane) i dwa wyjścia (również obu rodzajów) oraz gniazdo przewodu zewnętrznego zasilacza. Ta dodatkowa skrzyneczka nie stanowi wzorniczego kompletu z urządzeniem głównym. Konstruktor założył, że będzie raczej gdzieś schowana.

W ścieżce sygnałowej nie ma kabli. Prawie cały układ mieści się na jednej dużej płytce. Oddzielono jedynie regulację głośności, a krótkie odcinki taśmy łączą główny druk z modulem wyświetlacza przytwierdzonym do frontu.

Zasilacz zewnętrzny został określony jako „symulator akumulatora”, ale nie dowiemy się, na czym dokładnie owa symulacja miałaby polegać. Budowa wewnętrzna niczym nie zaskakuje. Znajdują się tu bezpieczniki, średniej wielkości toroid, kondensatory elektrolityczne oraz jeden układ scalony.



Obserwacja wnętrza pozwoli nam jeszcze tylko zdekonspirować tranzystory. Układ pracuje na tzw. lateralnych MOSFET-ach angielskiej firmy Seme-lab (dwie pary). Ten rodzaj tranzystorów jest rzadziej spotykany niż zwykłe MOSFET-y czy tranzystory bipolarne. Ale ma też pewne zalety: charakteryzuje się m.in. stabilniejszą temperaturą pracy i mniejszymi zniekształceniami przy wysokich częstotliwościach. Wszystkie tranzystory przymocowano do szyny, doklejonej następnie do radiatora. Na tym ostatnim umieszczono wspomniany wcześniej czujnik temperatury.

Przedwzmacniacz The Emerald

Przedwzmacniacz The Emerald ma obudowę identycznych rozmiarów co monobloki The Excalibur, ale drewniane boczki zostały zastąpione czarnym aluminium. Pozostałe elemen-

ty w sekcji wejściowej widać przełączniki Takamisawy, po których sygnał jest prowadzony w pełni symetrycznie. Każdy kanał ma własny, oddzielny układ regulacji siły głosu, oparty na drabince rezystorowej z przełącznikami sterowanymi układem scalonym.

Ten układ producent również określa jako „DC coupled”, choć sprzężanie pojemnościowe widać w wielu miejscach. Stopień wyjściowy pracuje na mosfetach z potężnym buforem kondensatorów Wimpy przed samymi gniazdami. Połączenia na płytce drukowanej wykonano ze złota, ale i tak ich nie obejrzymy, bo znajdują się od spodu. Preamp pracuje bez globalnego sprzężenia zwrotnego.

Gustowne obicia boków w monoblokach.

Na urządzeniu nie umieszczono żadnych przycisków. Wszystkie operacje wykonuje się aluminiowym pilotem. Jego solidna budowa robi dobre wrażenie. Regulacja siły głosu jest dokładna i wygodna.

Konfiguracja

Wzmacniacz Van den Hula stawia przed recenzującym jeden problem: trudno mu zapewnić godnych partnerów. Aby w pełni docenić walory tak drogiego kompletu, należałoby zadbać

Klasyczny minimalizm.



o źródło, kolumny i okablowanie ze zbliżonej półki. Jeśli ktoś jest szczęśliwym posiadaczem takiego systemu, to problem znika. Kiedy jednak wszystko przyjeżdża nowe, to wtedy opisanie wpływu każdego komponentu z osobna się komplikuje.

Inną strategią jest odsłuch w systemie używanym na co dzień. Tutaj też kryją się pułapki – przypisanie zasług nowemu elementowi nie przysporzy problemu, z tym że wtedy różnica klas

Przekaz jest homogeniczny. Muzyka nie składa się z wielu części, lecz stanowi nierozdzielalną jedność barw i zakresów. Czasami taka diagnoza może się kojarzyć z kompromisem jakościowym, typowym dla urządzeń, które ekspozycją jednego elementu (w tym przypadku wspomnianej średnicy) chcą zamaskować niedostatki innych. Tutaj mamy do czynienia z inną koncepcją. Już sama cena gwarantuje, że nawet jeśli wytropimy jakiś kompromis, to będzie on raczej zgodny z przemyślanym zamierzeniem producenta. I tak jest rzeczywiście. Van den Hul niczego nie pozostawia przypadkowi. Każdy

w formie skumulowanej w odpowiednich momentach – rzadziej lub częściej, zależnie od nagrania. Wtedy można się przekonać, że ta pozorna wstrzemięźliwość jest częścią planu. Ogromna siła uderzenia i wewnętrzna moc są podporządkowane temu, aby odpowiednio wzmocnić barwy średnicy, a nie angażować kolejnego bohatera do gotowego już spektaklu.

To jednak nie koniec atrakcji, bo Van den Hul tworzy własną kategorię w dziedzinie kontroli basu. Zwykło się uważać, że konturowość i miękkość niskich tonów to pojęcia wzajemnie się wykluczające. Okazuje się, że nie. Van den Hul w sposób niezwykle łączy oba aspekty.

Holenderski wzmacniacz ma duszę artysty – dąży do tego, aby każdy instrument zaprezentować jak najkorzystniej.



nie pozwoli odkryć jego wszystkich walorów. Mimo to, z pełną świadomością konsekwencji, zdecydowałem się na tę opcję. I tak w roli źródła wystąpił odtwarzacz Naim 5X z zewnętrznym zasilaczem Flatcap 2X, monitory to Dynaudio Contour 1.3 mkII, a okablowanie – Jorma Design Unity.

Wrażenia odsłuchowe

Van den Hula można polubić od pierwszych sekund. Gra średnicą. Konstruktor położył nacisk na odtworzenie serca muzyki. Skraje pasma odgrywają rolę dopełniającą. Nie chodzi o to, że są zaniedbane, ale o to, że starają się nie zakłócać istoty tego, co rozgrywa się w centrum.

Zewnętrzny zasilacz przedwzmacniacza lepiej gdzieś schować.

aspekt brzmienia to element harmonijnej kompozycji.

Po nawiązaniu sympatycznej relacji z urządzeniem bardziej wnikliwy odsłuch pozwala docenić konsekwencję, z jaką dopracowano szczegóły.

Bas jest dozowany w niezwykle dokładnych porcjach. Konstruktor zadbał, aby w żadnym przypadku nie przytłaczał reszty pasma. Podstawa harmoniczna może sprawiać wrażenie nieco wycofanej, ale tylko do czasu. Bo Van den Hul nie traci energii na jedностajne buczenie, lecz uwalnia ją

W niektórych nagraniach usłyszymy więc bas bardzo szybki i konturowy, w innych – lekko rozmyty i kojąco miękki. Mimo że charakterystyka tego zakresu orbituje wokół dobitności, to jest to nadal dobitność podporządkowana barwie. Kontrola w wykonaniu Van den Hula jest daleka od suchości czy utwardzenia. Od początku do końca, niezależnie od ilości niskich składowych oraz ostrości ich konturów, zakres ten pełni rolę strażnika średnicy. Oprócz swej naturalnej misji dynamicznej, wspomaga muzykalność; oprócz misji rytmicznej – melodię. Jest głęboki, sprawny i zróżnicowany. Potrafi rozbijać dynamikę w skali makro z takim impetem, że niedosyt pod tym względem na pewno nie grozi. Efekt jest doprawdy niezwykle.

Najważniejsza jednak pozostaje średnica – plastyczna, wysmakowana, a przy tym bardzo emocjonalna. Wejście każdego

Wyposażenie przedwzmacniacza – bez wodotrysków.



instrumentu wywołuje przyjemny dreszczyk na skórze. W tym przekazie zawiera się zarówno kultura, jak i naturalna werwa. Dźwięki pozostają ze sobą w harmonii. Posługując się analogią malarską, powiemy, że ważniejszy niż pojedyncze pociągnięcia pędzlem jest obraz całości. Ale jeśli przyjrzymy się z bliska – zobaczymy maestrię reprodukcji szczegółów – taką, którą autor się nie chwali. Tak jakby malując portret, artysta pod warstwą farby przedstawiającej „to, co widać”, ukrył jeszcze krwiobieg portretowanego, a my tę tajemnicę przenikamy.

Celem Van den Hula jest wytworzenie wrażenia nieustannej płynności. Z tym, że polega ona nie na rozmyciu tła, lecz na doborze barw. Można odnieść wrażenie, że konstruktor dążył do tego, aby w kompozycji nie pobrzmiała żadna fałszywa nuta; aby wszystko się wzajemnie dopełniało. Jeśli dodamy do tego soczystość i wyrazistość średnicy, tendencję do unikania ostrych konturów, przy jednoczesnej stanowczości, z jaką wzmacniacz dąży do wnikięcia w esencję muzyki, to również tutaj, podobnie jak przy najniższych składowych, otrzymamy równowagę, godzącą podejścia rzadko spotykane razem.

Van den Hul świetnie oddaje barwę ludzkiego głosu, a każdy wokal ma swój niepowtarzalny charakter. Urządzenie tylko wzmacnia tę oryginalność, przedstawia ją w sposób, który bardziej zapada w pamięć. W tym miejscu polecam wszelkie nagrania wielogłosowe. Kantaty Bacha, niezależnie od wykonania, będą tu świetnym przykładem. Mnie najbardziej uwiódł fragment („Mein Gott hier wird mein Herze sein”) kantaty 18. – „Gleichwie der Regen und Schnee vom Himmel fällt” – pod klasyczną batutą Nikolausa Harnoncourta (Teldec), gdzie na przemian słyszymy tenor, sopran chłopięcy, bas i chór.

Z jednej strony, Van den Hul tworzy gęstą od brzmienia i niemal lepką średnicę. Ale z drugiej strony naładowana jest ona taką mikrodyamiką, że do zlewania się tego bogactwa dźwięków nigdy nie dochodzi. Ta godna podziwu umiejętność tworzenia przekazu homogenicznego, który pozostaje fascynujący w każdym repertuarze – sprawia, że Van den Hula można słuchać nałogowo.

Harmonię i całościowe podejście do muzyki widać także w sposobie pre-

zentacji sceny. Konstruktorom zależało bardziej na zrobieniu wrażenia, że muzycy stanowią zespół, niż że są grupą indywidualistów. Choć wskazanie palcem dowolnego instrumentu czy źródła dźwięku nie nastrocza trudności, okazuje się również, że wszyscy uczestnicy wydarzeń są połączeni podprogowym nakazem wspólnego grania. Najbardziej zaś imponuje połączenie ogromnej dokładności bez efektu chirurgicznego skalpela.

Walory stereofoniczne dopełniają także ogólny charakter średnicy. Ma się wrażenie niemal fizycznej obecności dźwięku, wypełnienia pomieszczenia ciśnieniem akustycznym i to bez wspomaganie się podbiciem basu. Dodajmy do tego świetnie wyciszone tło i otrzymamy obraz stereofonicznej perfekcji.



Pilot solidny i funkcjonalny.

Góra pasma, podobnie jak bas – została dopracowana według tej samej recepty: pokazać wszystko, pod warunkiem, że nie zdominuje to przekazu średnicy. I podobnie jak w przypadku basu – cel został zrealizowany. Najwyższe rejestry są wykorzystywane w sposób bardziej fizjologiczny niż wyczynowy. Innymi słowy: Van den Hul potrafi zagrać ostro, ale tej ostrości nie prowokuje. Góra pasma została dostrojona w sposób, który nie pozwala jej zarzucić wycofania czy przesłodzenia, ale też nie stara się zwracać na siebie uwagi.

Wydaje się, że istotna jest również pewna uwaga praktyczna. Wzmacniacz nie lubi grać cicho. Jego brzmienie się wtedy nie wyróżnia. Prawdziwe oblicze

zaczyna pokazywać dopiero od wskazania 30 % na wyświetlaczu. A potem im więcej, tym lepiej. Nie oznacza to konieczności wchodzenia na poziom ogłuszający. Zdroworozsądkowy umiar też się sprawdza, ale i tak wyklucza on opcję spokojnego nocnego odsłuchu – do tego celu na pewno znajdziemy coś tańszego. Na pocieszenie przypomnę, że nie przyłapałem Van den Hula na wybredności repertuarowej. Wszystkie gatunki odtwarza z równym zaangażowaniem i pietyzmem.

Na koniec kwestia ceny. Jeśli przyjmujemy punkt widzenia, że stan konta to także stan umysłu, nie jestem w stanie sformułować tu racjonalnego wniosku. Po prostu, stan mojego konta odpowiada innemu stanowi umysłu. Jako recenzent nie mogę się jednak wymigać od komentarza dotyczącego brzmienia. A brzmienie jest niezwykle i hipnotyzujące. Tak jakby konstruktorzy chcieli nam umożliwić przeniknięcie jakiejś tajemnicy tkwiącej w muzyce. Jakby w cenie wzmacniacza oferowali nie tylko wartość techniczną i artystyczną, ale także – metafizyczną.

Konkluzja

Van den Hul tworzy niepowtarzalny spektakl. Czy jest on wart przeżycia, każdy musi ocenić sam. Nie wątpię, że są tacy, którzy za wrażenia artystyczne są w stanie zapłacić fortunę. Po odsłuchu Van den Hula chyba ich rozumem.

Van den Hul The Excaltibur

Cena: 40950 zł (za sztukę)
81900 zł (za parę)

Van den Hul The Emerald

Cena: 54600 zł

Dane techniczne:

The Excaltibur

Moc:	100W/8 omów
Pasma przenoszenia:	10 – 100 000 Hz
Zniekształcenia:	<0,1%
Sygnal/szum:	b.d.
Wejścia:	XLR
Wyjścia:	XLR, głośn.
Wymiary (w./s./gł.):	10/45/33,5 cm

The Emerald

Pasma przenoszenia:	5 – 20000 Hz
Zniekształcenia:	<0,01%
Czułość:	b.d.
Wejścia:	2 x XLR, 2 x RCA
Wyjścia:	XLR, RCA
Regulacja barwy:	-
Zdalne sterowanie:	+
Wymiary (w./s./gł.):	10/45/33,5 cm

Ocena:

Ocena brzmienia: hi-end